

AGNIESZKA SKOWRON-WILUSZ

WIHOR

W miejscu, gdzie rzeka pamięta więcej niż ludzie,
na pograniczu historii i baśni,
młoda nauczycielka snuje opowieść o życiu.



AXIS MUNDI
WYDAWNICTWO

AGNIESZKA SKOWRON-WILUSZ

WIHOR



Copyright © 2026 by Agnieszka Skowron-Wilusz
Copyright for this edition © 2026 by Axis Mundi

REDAKTOR PROWADZĄCY: Marta Szelichowska

REDAKCJA: Iwona Hardej

KOREKTA: Anna Piechota

KOREKTA TECHNICZNA: Basia Borowska

PROJEKT OKŁADKI: Izabela Surdykowska-Jurek

WYDANIE I

ISBN PRINT: 978-83-8412-652-3

ISBN E-BOOK: 978-83-8412-653-0

ISBN ABONAMENT: 978-83-8412-654-7

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część książki nie może być wykorzystana bez zgody wydawcy.

Niniejsza powieść stanowi wytwór wyobraźni, a wszelkie podobieństwo do osób żyjących lub zmarłych, wydarzeń i miejsc jest całkowicie przypadkowe.



Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotował Jan Żaborowski

Chciałabym zapamiętać swoją śmierć jako wielkie wydarzenie, święto, które zgromadzi wszystkich mieszkańców wioski. Chciałabym, żeby zatrzymał się czas, a moje ciało nigdy nie zmieniło formy. Pozostałabym wśród nich – wciąż piękna, pełna obojętności i chłodu – już na zawsze. Chciałabym, żeby na wietrze rozłopotały się sztandary z moim imieniem. „Joanna, Jo-anna” unosiłoby się nad ich głowami.

A było tak normalnie. Lekkie mdłości, zawroty głowy, coraz spokojniejsze bicie serca. Zamknęłam oczy i otworzyłam je zupełnie gdzie indziej.

Zdecydowanie nie był to dobry czas na odejście. Ponoć nigdy nie ma na to dobrego czasu.

Tłum żałobników rozpaczał w moim domu. Pomyślałam, że mogłabym do nich podejść, ale ostatecznie nie znalazłam odwagi. Wyglądali z góry jak szerniałe zboże po obfitych ulewach. Lekko kołysali się to w prawo, to w lewo, w przód i w tył, zgodnie z dźwiękiem lamentu.

Mąż, ubrany uroczyście, siedział u mych stóp. Nie patrzył na moje ciało, przyobleczone w najwytworniejszą z sukien. Zielony muślin opinał pełne kobiece kształty. Miałam wrażenie, że zaraz wstanę, przeciągnę się powoli i spojrzę w jego stronę z tęsknotą przynależną martwym. Tęsknotą za ciepłem.

Wstrząsały nim dreszcze. Czy płakał? Pomyślałam raczej, że znów musiał wypić. Nigdy nie był sentymentalny.

Trumna pachniała świeżo ciosanym drewnem. Drzewo, oderwane bezlitośnie od korzeni, obumierało powoli razem ze mną. Zapomniano wyścielić kolebkę tkaniną. Drzazgi wbijały się coraz mocniej w skórę, która straciła napięcie. Być może za brakiem tkaniny stał mój ślubny, który

wiedział, że każde draśnięcie zawsze napełniało mnie trwogą. Liczył zapewne na to, że nie odmienię już losu i się nie podniosę.

Na zewnątrz słychać było gwar. To moje aniołeczki szeptały do siebie pełne przejęcia. Nie ma już ich pani. Kto teraz zaprowadzi porządek w klasie o poranku, kiedy jeszcze zaspane dogadywały sobie i przekomarzały się, mimo że już wybrzmiał pierwszy dzwonek?

Szukałam go intensywnie. Był w domu. Cichy i spokojny jak nigdy. Siedział skulony w rogu pomieszczenia, skubał zawzięcie róg serwety leżącej na małym stoliku. Nad nim tykał ospale zegar. Tyk, tyk, tyk, tyk. Odliczał czas, który już mnie nie dotyczył.

Nie podnosił głowy, a tak chciałam spojrzeć w jego twarz. Kuba. Mój ulubiony uczeń.

Tamten pierwszy września był inny niż wszystkie. Przepowiednie wojny stały się rzeczywistością. Szkoła została zamknięta, wojska niemieckie, a zaraz po nich sowieckie przemaszerowały przez wieś.

Moja praca uległa zawieszeniu. A tyle było przygotowań. Skromna czarna suknia wisiała bezradnie na krześle, jej materiał układał się w pełne zwątpienia fale. Chciało mi się krzyczeć! Nocą płakałam cicho do poduszki, w dzień przewracałam strony gazety, szukając informacji o wznowieniu nauczania. Mąż, pracując w tartaku, uniknął wcielenia do wojska. Nie było go jednak całe dni. Samotność przytłaczała mnie coraz bardziej. Czytałam. Książki przenosiły mnie do innych światów, pełnych przepychu, kultury, nazwanych emocji. Przędłam. Przędza kojarzyła mi się z kreacją i kruchością losu. Siedząc przy kołowrotku, czułam, że panuję nad swoim życiem, a zarazem – że łatwo mogłabym je przerwać.

Zaczęliśmy jeszcze jesienią. W klasie zamiast uśmiechniętych, pełnych wyczekiwania spojrzeń zobaczyłam strach. Drewniane ławki zaskrzypiały rozdrażnione tym, że ktoś przerywa im przedłużony wakacyjny sen. Pożółkłe strony zeszytów oddychały nierówno, wyczekując na dotyk ołówków.

– Dzień dobry, dzieci – próbowałam jakoś przerwać przygnębiającą ciszę.

– Dzień do-bry – odpowiedziały.

– Zanim zacznę, wyjaśnię wam różnicę pomiędzy światem na zewnątrz a tym tutaj, w szkole.

W baśniowe obrazy ubrałam słowa o demonie, który próbuje zawładnąć światem. O tym, jak spowodował nędzę i nienawiść pomiędzy sąsiadami, których dotychczas dzielił tylko płot. O krwi, którą się karmi i że przyjdzie taki czas, że z tego łakomstwa po prostu pęknie i zniknie. Szkoła za to jest ich schronieniem, miejscem, gdzie mogą zapomnieć o złu świata, że mają mnie, że są moimi aniołeczkami, a ja ich siłą i będę je chronić. Czułam, gdy mówiłam te słowa, że po policzkach spływają mi łzy.

Czy sama w to wierzyłam? Nie. Ale bardzo chciałam uwierzyć.

Chodzę po ubitym klepisku dróg. Nikt mnie nie dostrzega. Przyjmuję to z ulgą. Czy umarłam wczoraj, tydzień temu czy może minął już miesiąc? Przestaje to mieć znaczenie. Nie zmieniam się, nie przeobrażam. Miarowy oddech nie unosi już moich piersi. Wiatr nie muska z czułością włosów. Ziemia nie odznacza śladów.

Zastygłam w jakiejś nieokreślonej formie, zawieszona pomiędzy ziemią a niebem, życiem a śmiercią, bytem a nieistnieniem.

Wchodzę do mojej wioski. Wróciłam do domu. Most jest stary i spróchniały. Kołysze się na wietrze. Mogę jakkolwiek przekroczyć prądy rzeki, ale chcę znów poczuć się jak żywy człowiek. Stąpom krok za krokiem. Nie czuję już wilgoci drewnianych desek wbijających się drzazgami w moje stopy, nie czuję ostrego zapachu zardzewiałych gwoździ, nie potykam się na nierównościach zrodzonych pod ręką nieuważnego cieśli. Przypominam to sobie jedynie, odtwarzając we wspomnieniach wszystkie zmysły.

Przechodzę przez uchyloną bramkę. Gdybym ją pchnęła, zaskrzypiałaby przeciągle jak dawniej. Stado ptaków przygląda mi się uważnie z pobliskiego drzewa.

Ukazuje mi się pogorzelnisko. Zwalone drzewa owocowe leżą bez ducha w towarzystwie drewna ze spalonych domów. Po tych bogatszych zostały chociaż podmurówki na znak pamięci, że ktoś kiedyś w tym miejscu stworzył swoje miejsce na ziemi.

Staję pod jabłonią. Moją jabłonką. Ocalałą. Na ziemi leży duża ilość zgniłych owoców, pozostałość po obfitym i płodnym lecie. Jabłoń stoi posepna, pozbawiona już liści, pochyla się nad swoimi wzgardzonymi dziećmi. Mam wrażenie, że chciałaby znów osadzić je na swoich gałęziach.

Płaczę, nie czuję jednak słonego smaku łez. Na drzewie migocze czerwony fragment wstążki.

Robi się ciemno. Powietrze gęstnieje. Mam wrażenie, że muszę przedzierać się przez zawiesistą mgłę.

Rozglądam się uważnie wkoło. Słyszę krzyki. Języki ognia skradają się do mego ciała.

Przecież nie żyję. Nic mi już nie grozi – uspokajam się w myślach.

– Chwała...! – brzmiały urywane okrzyki.

Biegną tuż obok mnie. Słyszę ich świszczące, nadwyrężone przez tytoń oddechy. Zapach wielotygodniowego potu ciągnie się za nimi.

Partyzanci, leśne bandy, moi kamraci – odkrywam.

Wpadam w popłoch.

Robi się jasno. Łuna światła przekracza granicę drzew, sięga ponad walczące z ogniem dachy. Ogień dotyka nieba, muska gwiazdy. Na chwilę zatrzymuję się, zaczarowana tym widokiem. Z zadumy wyrывa mnie wrzask. Rozpaczliwe „ratunku” przeplata się z jękiem wydobywającym się ze zdartej krzykiem krtani. Biegnę w stronę głosu. Nie mogę go odnaleźć. Opanowuje mnie strach. Widzę przed sobą stare drzewo z wielką wydrążoną dziuplą. Chowam się w niej. Zatykam uszy. Nie chcę już nic słyszeć. Nie chcę nic widzieć. Chropowata kora, którą wyścielone jest wnętrze drzewa, daje poczucie bezpieczeństwa. Odsuwam dłonie od uszu, obracam kawałki kory w palcach. Uspokajam się. Wychylam się z wnętrza drzewa. Mojej Sławki już nie ma. Nie ma ognia, popiołu, nienawistnej śmierci. Pochłonął je las.

Wiele razy zastanawiałam się nad tym, dlaczego Kuba. Dlaczego moje serce wybrało właśnie tego chłopca. W roku szkolnym naznaczonym wojną był jednym z wielu moich uczniów. Nie wyróżniał się na pierwszy rzut oka niczym szczególnym. Ubrany był niedbale, jak większość klasy. W cieplejsze dni chodził często bez butów, bo te miał oszczędzać do kościoła i na rodzinne uroczystości. Uśmiechał się rzadko, ale energii do psocenia mu nie brakowało. Harcował z kolegami i koleżankami z klasy pomiędzy ławkami.

Charakteryzowała go bruzda, która wyrывała się pomiędzy brwiami. Wiedziałam, skąd się wzięła. Tuż przed rozpoczęciem szkoły zmarła jego

matka. Urodziła mu słabowitego brata i odeszła. Ojciec już szukał następczyni. Chłopcem zajmowali się na zmianę dziadkowie i ciotka.

Jego tragedia silnie na mnie oddziaływała. Może traktowałam go jak syna? Nie miałam przecież własnych dzieci, a tak bardzo wtedy chciałam je mieć.

Czasem miałam wrażenie, że cała wieś życzy mi dziecka. Sąsiadki przez pierwsze lata po moim ślubie przychodziły często z pytaniem, czy już. Czy już jestem przy nadziei.

– I co? – mówiła Jadźka od progu. – Stało się? Będziesz mamą?

Nie umiałam odpowiedzieć. Nie wiedziałam, co powiedzieć. Czułam się pusta w środku.

Mąż nigdy nie powiedział słowa na ten temat. To milczenie było gorsze od tysiąca słów.

Pamiętam, jak pierwszy raz go przytuliłam. Ciepło jego dziecięcego ciała i głód matczynej miłości pozostały ze mną jako jedno z lepszych wspomnień. To było wtedy, gdy przyszedł do klasy z płaczem.

– Co się stało? – zapytałam prędko, widząc zapłakane dziecko.

– Kot upolował mi pięknego ptaka – zaczął opowiadać, chlapiąc.

Powiedział mi, że ptak był kolorowy, że piękniejszego nigdy nie widział. A że był chłopcem wrażliwym, to najwyraźniej postanowił zatrzymać piękno przy sobie. Próbował mu zrobić klatkę. Z leszczyny. Spód skonstruował z kawałka drewna. Zabrakło mu materiału na zawiasy do klatki. Jego dziadek miał pas do ostrzenia brzytwy. Chłopiec pociął go, żeby zrobić zawiasy. Dziadek zorientował się w szkodzie dość szybko. Kuba ze strachu przed biciem przesiedział do nocy na przydomowej jabłonce, z której ściągnęła go ciotka. Rano przed szkołą zobaczył, że nie ma ani klatki, ani ptaka.

Ot, dziecięcy problem, nie mniej ważny niż krew przelewana na frontach.

Właśnie tę zwyczajność i niezmaconą jeszcze delikatność kochałam w moich aniołkach.

Wtedy też wpadłam na pewien pomysł. Nasze lekcje uczyniłam dziecięcym teatrem wyobraźni.

Traktowano mnie w rodzinnej miejscowości jak starą pannę. Najstarsza córka zamożnego małżeństwa nie znalazła męża. Młodsza siostra już dawno powiła swojemu dwójkę dzieci i oczekiwała przyjścia na świat trzeciego. Rodzice włożyli jednak we mnie sporo pieniędzy i chcieli, abym była chlubą rodziny. Pierwszą, która się wykształci. Wyjechałam uczyć się do miasta.

Zakosztowałam innego świata. Polubiłam wybrukowane uliczki, okazałe kamienice, park miejski znajdujący się tuż za zamkiem. To właśnie w zaciszu parkowych alejek umawiałam się z kolejnymi adoratorami, niechętnymi do żeniaczki, której ja też nie oczekiwałam. Nauczyłam się bawić, śmiać się do łez. Kochać. Porzucać. I być porzucaną.

Po kilku latach życia w mieście któregoś dnia niespodziewanie przyjechał do mnie ojciec. Myślałam, że coś złego się stało. Przestraszyłam się, że matka umarła. Nigdy nie puszczała ojca samego.

– Znalazł się mąż dla ciebie – powiedział, wchodząc do skromnego pokoju na poddaszu u państwa, u których wtedy pracowałam. Kurz osiadły na bordowej narzucie na wąskim drewnianym łóżku zdawał się opaść jeszcze bardziej w zwały pościeli. Wypuściłam powoli powietrze z płuc.

– Nie chcę, ojcie – rzekłam tylko.

– Nikt nie pyta cię o zdanie. – Spochmurniał.

Mój ojciec był szorstki, chłodny w obyciu, jednak gdy patrzył na mnie swoimi chabrowymi oczami, wiedziałam, że kocha mnie prawdziwie. A może tylko chciałam w to wierzyć?

– Muszę zapewnić ci przyszłość. Czasy są niepewne. Obiecał, że będziesz mogła nadal pracować. W szkole w jego wiosce, nieopodal nas, znalazła się posada nauczycielki. Możesz zacząć od września, już po ślubie.

I tak wyszłam za mąż. Za Lacha.

Matka nigdy nie darowała tego ojcu.

Wydawało mi się, że po śmierci opuści mnie przejmujące uczucie pustki i samotności. Że gdzieś trafię albo zapadnę się w nicość.

Pragnęłam zasnąć w zaświatach i poczekać, aż moja wielka ziemską miłość przekroczy wszelkie przeszkody i przyjdzie tutaj po mnie. Wrócilibyśmy wtedy na ziemię, po to by zacząć życie od nowa. Albo zostalibyśmy wspólnie w śmierci, spleceni w ciasnym miłosnym wiecznym uścisku.

Patrzyłam na niego co noc. Patrzyłam, jak sięga po szklanekę z czystym alkoholem. Patrzyłam, jak jego oczy stają się zamglone, a usta mamroczą moje imię.

Małżeństwo aranżowane, małżeństwo z rozsądku, małżeństwo wbrew rozwadze.

Wiedziałam, że to nie przypadek postawił nas sobie na drodze. Wiedziałam, że to kara za odpędzenie prawdziwej miłości.

Kiedy po weselu zbliżył się do mnie po raz pierwszy, nie czułam obrzydzenia. Byłam ciekawa. Ciekawa tego, jak prężą się jego mięśnie, jak

skurcz rozkoszy napina całe jego ciało, co mówią jego oczy, bo język nie znał słów miłości.

Pamiętam, jak we wczesnych latach czterdziestych sąsiad przyszedł do niego i wyszeptał:

– Pozbądź się jej, nie potrzebujemy tu obcych.

Wiem, że odpowiedział. Usłyszałam melodię jego słów, ale ich znaczenia nie dosłyszałam. Patrzył na mnie od tamtego momentu uważniej, jakby sprawdzał, w jaki sposób i w którą stronę obraca się moje ciało, czy kiwnę palcem, czy dłoń pozostawię rozpostartą, w jaki sposób układam usta, kiedy się śmieję bądź złoścuję. Zagościła w nim mieszanka troski, podejrzliwości, strachu i nienawiści.

Bardzo mylili się co do mnie. Nie byłam swoją matką. Nie miałam jej marzeń. Pragnęłam szczęścia moich aniołków. Pragnęłam zrozumieć siebie i swojego męża. Pragnęłam żyć pełnią życia.

Jednak za naszymi drzwiami trwała wojna. I ta wielka, światowa, i ta mniejsza, międzysąsiedzka.

Walka pomiędzy sąsiadami była bardziej krwawa i okrutna. Bo dotykała wspólnej przestrzeni, swoistego języka, będącego mieszanką języków narodowych i wspólnej gwary. Bardziej bolał nóż wbity przez kogoś, kto jeszcze chwilę wcześniej zaczepiał mnie na drodze i pytał o zdrowie niż broń przystawiona do skroni przez kogoś obcego, z kraju, którego nie widziałam nigdy na oczy.

Pierwszy raz od czasu pogrzebu zrozumiałam, że właściwie nie wiem, jak umarłam.

Moim aniołkom strach nie dawał spać. Moje aniołki bały się wojny. Chciałam moje aniołki ochronić.

Któregoś dnia przyniosłam do klasy przedzę. Oplotłam się nią, a potem oplotłam każdego z uczniów w taki sposób, że każdemu zostawało około dwa metry zwisającego sznurka. Stałam w środku kręgu, a aniołki ustawiły się wokół mnie. Przywiązałam wszystkie końce sznurków do siebie, do nici, którą przewiązałam się w pasie. Poprosiłam, aby delikatnie się oddalali i zbliżali w moją stronę. Wyglądaliśmy jak dmuchawiec targany wiatrem.

Trwało to kilkanaście minut. Uśmiechali się, delikatnie tarłosili za ramiona i włosy, pociągali mocniej nicią. Ostrożnie obracaliśmy się w koło, w prawą i w lewą stronę, na mój sygnał. Nagle jeden z chłopców zbyt mocno popchnął Irmę. Dziewczynka upadła i zerwała nić. Rozpłakała się.

Przerwałam zabawę, podeszłam do niej i pogłaskałam po głowie.

– Nic się nie stało – powiedziałam z pewnością w głosie. – To tylko zabawa.

Wtedy poczułam pod skórą delikatne ukłucia, jakby tysiące igiełek próbowało się przebić i uzbroić mnie na wydarzenia, które miały nadejść.

Irma była Żydówką. W dniu naszej zabawy, gdy otarła łzy, powiedziała do mnie, żebym jej dała prztyczka w nos. Że to taki żydowski zwyczaj. Małe aniołki przychodzące na ziemię i odradzające się jako ziemskie dzieci dostają lekkie uderzenie w nos, żeby nie pamiętały o niebiańskim raju. Irma zaś nie chciała pamiętać ziemi ani mnie, ani dzieci z klasy. Mówiła, że zbyt mocno by za nami tęskniła tam w górze. Po kilku dniach zabrali ją do getta. Wiedziała, co ją tam czeka.

Nie spotkałam jej tutaj. Nikogo nie spotkałam. Wspominam tylko swoje dotychczasowe życie.

Byłam kiedyś w ciąży, dwukrotnie. Raz usunęłam płód. Zastanawiam się, czy późniejszy brak dzieci nie był konsekwencją grzechów młodości.

Miasto położone na siedmiu wzgórzach zapierało dech w piersiach. Pamiętam doskonale dźwięk bruku, kiedy przebiegałam przez rynek, żeby zdążyć odebrać Ritę ze szkoły. Za rękę ciągnęłam młodszego Stasia. Wypolerowana deszczem i promieniami słońca kostka odbijała moją stopę delikatnie, stąpienia brzmiały jak ciche plaśnięcia, podobne w swej melodii do lepkich kwiatów lipy upadających na ziemię późnym latem. Pantofle zakupione przez Edmunda wyróżniały się na szarym podłożu intensywną czerwienią. Czułam się w nich wybrana, wyjątkowa, osobliwa. Gdybym mogła, ze szczęścia unosiłabym się w powietrzu.

Posada guwernantki była dla mnie wyróżnieniem. Co prawda marzyłam o pracy nauczycielki w szkole w mieście, ale była ona tylko odległym rojeniem.

Mój pracodawca był wysoki, przystojny i czarujący. Jego uśmiech rozpraszał najczarniejsze chmury w burzowe dni. Jego żona dla odmiany była prawdziwą jędzą.

– Rita nie robi postępów na lekcjach śpiewu. – Słyszałam często, jak mówi o mojej podopiecznej o jasnych włosach i ciągle śmiejących się oczach. – Ale to nic dziwnego, skoro opiekunka nie ma słuchu – dodawała.

Albo krzyczała z pokoju na dole:

– Joanno! Proszę wytłumaczyć Stasiowi rolę i miejsce służby, bo Staś za bardzo spoufala się z synem kucharki. – Tak mówiła o swoim nieśmiałym i skrytym synu.

Apodyktyczna, surowa, o wyniosłym spojrzeniu, Katarzyna od samego początku pałała do mnie niechęcią. Często słyszałam kłótnie małżonków

o mnie. Katarzyna pragnęła mnie zwolnić. Nie chciałam utracić tej pracy. Była moim giejtem w tym lepszym świecie.

Edmund, szanowany w mieście prawnik, siłą argumentacji wygrywał potyczki słowne, a ja zachowywałam pracę. Wierzyłam, że docenia moje starania w wychowywaniu jego dzieci.

Znajdowałam często na łóżku czerwone róże, rzucone jakby od niechcienia. Ich płatki wtulały się w pościel, łaknąc rozpaczliwie wody. Kwiaty przypominały mi mnie samą, z czasów, kiedy tak bardzo chciałam wyrwać się ze Sławki. Podnosiłam je prędko i wsadzałam do wazonu, chroniąc przed przedwczesnym uwiednięciem.

Kwiaty były od Edmunda, choć wodził za mną wzrokiem także jego sekretarz, Karol, który często pojawiał się w domu moich państwa.

Podchody Edmunda nie trwały długo. Po kilku miesiącach pojawił się u mnie późną nocą. Przemknął jak zjawa. Żaden z drewnianych schodków prowadzących na poddasze nie skrzywnął pod naciskiem jego kroków. Położył mi palec na usta, nakazując milczenie. Zagłębił się we mnie po raz pierwszy.

Pierwszej wspólnej nocy walczyłam z nim przez chwilę. Nie wydając dźwięków, wbijałam paznokcie w jego skórę, próbując wyszarpać jej kawałki z ciała na późniejszy dowód swojej hańby. „Czy może pani wskazać sprawcę?” – wyobrażałam sobie pytanie sędziego podczas procesu obyczajowego. Wyciągnęłabym wtedy dłoń, układając palce tak, by utworzyć z nich broń. Strzeliłabym bez zastanowienia. Edmund padłby na ziemię bez ducha.

Kolejny raz już się nie sprzeciwiałam, traktowałam jego pożądanie jako element obowiązków w pracy. Był zachłanny, nienasycony, żarłoczny. Zagarniał moje ciało, penetrując je i odnajdując jego najskrytsze tajemnice. „Wysoki sądzie, wycofuję oskarżenie” – mówiłam wtedy w myślach. –

„Edmund może zająć na powrót miejsce obrońcy uciśnionych. Zwalniam go z odpowiedzialności”.

Z czasem sama zapragnęłam jego dotyku, wypatrywałam go w drzwiach, zakradałam się do kuchni, gdy schodził do niej wieczorem po szklankę wody, zaglądałam mu w oczy, szukając w nich akceptacji i zauroczenia.

Przychodził coraz rzadziej. Coraz częściej unikał mojego wzroku. To wtedy zaczęłam odczuwać mdłości, a comiesięczna fala krwi przestała we mnie wzbierać. Powiedziałam mu o tym któreś nocy. Nie odezwał się.

– Wysoki sądzie, żałuję, że ciało mu swe oddałam, za zapłatę mając marne, ciche westchnienie rozkoszy. I pracę. Pracę, która mnie w mieście trzymała. Dziecko spłodził, dzieckiem zająć się nie chciał. Oskarżam go ponownie. Żądam najwyższej kary. Powinien być skazany na wieczne potępienie – szeptałam przez sen.

Następnego dnia przyszedł Karol. Skinieniem dłoni przywołał mnie do siebie. Wyszliśmy z domu. Zaprowadził mnie do baby, która takie jak ja przyjmowała poza miastem.

Wyciągnęła ze mnie płód szybko i sprawnie. Myślałam, że poczuję się, jakby ktoś wyrwał mi duszę, ale nie poczułam nic prócz bólu rozchodzącego się po całym ciele. Pulsował, wibrował, kolebał się, aż zaczęłam krzyczeć. Krzyczałam jak głuchoniema, poruszając wargami, nie wydobyłam z nich słów.

W trakcie zabiegu spoglądałam przekrwionymi oczami na lekko drgającą lampę wiszącą u sufitu. Była brudna i obdrapana. Wokół niej latały szaleńczo ćmy, uderzając raz za razem w żarówkę. Jej blask przyciągał je i odpychał jednocześnie. Czułam się jak one. Nadwątlona światłem nowego życia. Zmęczona, ale wciąż uparcie dążąca do zaspokojenia swoich pragnień.

Po wszystkim Karol przyszedł po mnie. Otulił mnie płaszczem. Wyszliśmy na ulicę. Rzekł do mnie:

– Jesteś naiwna, Joanno. A mogłem dać ci wiele.

W odpowiedzi zwymiotowałam na trawnik.

Niedługo później zjawił się ojciec z wiadomością o moim zamążpójściu. Edmund się ucieszył. Ucałował mnie po ojcowsku w czoło i powiedział do ucha:

– Najwyższy czas.

W oczach jego żony chciałam zobaczyć wstyd.

Odwróciła spojrzenie.

Spoglądam na taniec gałęzi drzew. Podrygują niespokojnie na wietrze, sięgają swymi rozgałęzieniami do siebie nawzajem. Oczekując na pączki i liście, jeszcze nagie, szukają ciepła. Na drzewie kołysze się huśtawka. Popychana przed momentem ręką dziecka gaśnie i markotnieje.

Przede mną rozpościera się Wihor. Moja rzeka. Moje odniesienie.

Dostrzegam jej głębię. Biegnie wyżłobionym korytem wciąż przed siebie, bez przerwy, bez tchu, bez ustanku.

Raz wolno, raz szybko, w zależności od swych rzecznych, odwiecznych nastrojów.

Jestem tu i jednocześnie mnie nie ma. Osierocona przez życie. Nie odnajduję domu w śmierci.

– Czy ty mnie kochasz? – zapytałam kiedyś męża, po raz pierwszy i ostatni.

Był piękny, wiosenny poranek – dzień, kiedy poczułam w sobie przyływ czułości. Czystej, nieskalanej, wyzbytej towarzyszącej mi później

wzgardy.

Emocja zalała mnie nagle, bez ostrzeżenia, jak fala powodziowa przy roztopach. Wydawało mi się, że przepełniła mnie miłość. Tak sobie miłość wtedy wyobraziłam.

Ciało zawołało do mnie ze swej głębi:

– Teraz go przekonaj. Teraz go usidlij. Teraz zostaniecie rodzicami.

– O co ci chodzi? – odparł mój inżynier, zbierając się do pracy w tartaku. Nie usłyszał, nie poczuł, nie zauważył naszej szansy.

Wykształcony, lecz głuchy. Przystojny, lecz nieuważny. Niezła partia we wsi, lecz tylko na pierwszy rzut oka mojego ojca.

– O nic – odpowiedziałam i rozsypałam się na drobne kawałki. Potłukłam się jak szklanka zrzucona ze stołu. Rozpierzchłam się po kątach, tak żeby nikt nie miał już szans na moje scalenie.

Złapałam go za rękę, przyciągnęłam do siebie. Odepchnął mnie z siłą, jakiej wcześniej w jego domu nie zaznałam. Pierwszy akt przemocy. Pierwszy akt udręki. Pierwszy akt strachu.

– Odsuń się – powiedział na odchodne.

Kilka godzin później partyzanci z UPA napadli na wioskę. Wstrząsnęli nią. Przeniknęli ją. I odeszli, zostawiając bruzdy w sercach.

Przygotowywałam wtedy lekcje na kolejny dzień dla moich aniołków. Wiem, że zaglądali przez okno.

Nie tknęli mnie. Tknąć mnie nie mogli. Dłoń mojego brata sprawowała pieczę. Choć jej nie chciałam, choć ją odpychałam, choć ją odtrącałam.

Mąż patrzył na mnie z wyrzutem, gdy dowiedział się o napaści. Wolałby mojej śmierci. Pomogłaby mu zachować twarz.

Oddałam serce moim aniołkom. Czułam każdego szkolnego dnia, jakby rzeczywiście w klasie rozbrzmiewała melodia trzepotu skrzydeł, a one, zamiast rozchodzić się po lekcjach do domów, unosiły się w lekkości swych dusz w przestworza.

Moim pierwszym aniołeczkiem był jednak mój brat Michał.

Miałam zaledwie kilka lat, kiedy przyszedł na świat. Akuszerka zręcznie wyrwała go z łona mojej matki. Małą istotą, mieszczącą się w jej dłoni, obracała pod światło.

– Podobny do ojca. O, już widać, jakie ma mocne dłonie. Dobry będzie z niego gospodarz – powiedziała zadowolona.

Podbiegłam do matki i otarłam jej pot z czoła. Bałam się, że umiera, krew na łóżku wolno zasychała, matce delikatnie drżało ciało. Nie spuszczała jednak oczu z chłopca.

– Mój syn – powiedziała cicho. – Mój syn – powtórzyła.

Dziecko jakby usłyszało jej słowa. Na chwilę zamilkło. Być może wtedy zawarli przymierze. Wtedy złożyła mu obietnicę, że już zawsze będzie odwracać głowę, nawet jak jej syn popełni najstraszliwszą zbrodnię.

Płakał długo i uparcie przez kolejne tygodnie i miesiące. Nie było mi to niemiłe, płacz brzmiał jak dźwięki kocich harców zwiastujące wiosnę. Kołysałam go i tuliłam na zmianę z młodszą siostrą. Gdy podrósł, chodził za mną jak szczeniak, szarpał za spódnicę, domagając się uwagi. Zabierałam go często na długie spacery, podczas których karmiłam go dziecięcymi bajaniami o odległych krainach, królowych i wiedźmach, niebezpiecznych stworach. Nikt tak jak on nie potrafił tak uważnie słuchać. Z otwartymi ustami wpatrywał się w moją twarz i przenosił łatwo wszędzie tam, gdzie go tymi historiami prowadziłam.

– Nie opowiadaj mu tych głupot. – Słyszałam często od matki. – On ma być twardo stąpającym po ziemi mężczyzną.

W dorosłym życiu stąpał po niej aż za twardo. Złączył się z ziemią Sławki, pozostawiając w niej ślady, których nie był w stanie usunąć ani deszcz, ani ogień trawiący naszą ukochaną wieś. Chronił ją zazdrośnie przed tymi, których uważał za swych wrogów.

Miał piękny głos, który współgrał ze śpiewem ptaków. Miał kojący dotyk, do jego dłoni tuliła się każda roślina. Miał też kamień w sercu.

Przez wiele bezsennych nocy zastanawiałam się, czy to również ja, razem z naszą matką, ukształtowałam w nim zło? Czy zawiniłam bajaniem o złych władcach trujących swoich poddanych za nieposłuszeństwo? Czy też jego narastający bunt spowodował mój krzyk, kiedy napominałam go, naśladując to, co słyszeliśmy od rodziców?

Pięknemu jasnowłosemu chłopcu, którego mógłby usynowić bóg słońca, rysujący wesołe ogniki na niebie, malujący tęczę w deszczowe dni, grzejący stroskane serca, wyzierał z oczu mrok bezgwiazdnej nocy.

W ojcu nie przeglądał się w jak w lustrze, ojca nie obdarzał szacunkiem. Ojciec był mu przeszkodą.

– Michała mieliśmy wykształcić. – Usłyszałam, jak matka mówi którejs nocy do ojca.

– Michał zostanie przy nas – odpowiedział ojciec. – Tak będzie bezpieczniej. Tak będzie lepiej. Tak niech będzie.

Ojciec nie uchronił Michała. Ojciec nie uchronił przed Michałem.

Myślałam często nad tym, czy to z pokarmem matki mój brat wyssał nienawiść do tego, co odmienne, do tego, co zagrażające, do tego, co słabsze. Matka posługiwała się orężem odzianym w słowa, Michał zaś swój oręż zbudował z siły i bezmyślności, okrucieństwa i małoduszności, bezwzględności i braku litości.

Michał nie działał sam. Michał miał wyznawców.

Iwan i imiennik mojego brata Michał towarzyszyli mi, od kiedy pamiętałam. Czasem miałam wrażenie, że przeoczyłam ich dwóch w trakcie porodu matki. Może wyszli po Michale, cicho, niepostrzeżenie, przyjmując od początku rolę cieni, towarzyszy, powierników.

Razem się bawili, razem pili. Gwałcili, palili, niszczyli wszystko to, co było przeciw nim – Rusinom, nim – bezpieczeństwaom, nim – Ukraińcom.

Prosiłam, błagałam, żebrałam.

– Nie rób tego – powtarzałam.

Coraz częściej odpowiadał mi śmiechem.

Pamiętam, jak zniknął. Nie wrócił na obiad, co mu się nigdy nie zdarzało. Wspólnym obiadem okazywał szacunek matce, pokazywał jej swoje oddanie.

To ojciec wysłał mnie do lasu. To ojciec wiedział, że Michał przekroczył granicę podłości. To ojciec znał najlepiej swojego syna.

W szarym powietrzu kończącego się dnia dostrzegłam na skraju lasu, tuż przy Wihorze, jego plecy. Był zgarbiony, był strudzony, był stroskany. Podbiegłam, żeby go podnieść, podbiegłam, żeby go wyprostować, podbiegłam, żeby go jeszcze raz uratować.

Zatrzymałam się, kiedy ją zobaczyłam. Leżała bez ruchu na trawie. Dłońmi zaciskała uda. Oczy miała zamknięte. Stał nad nią i się wpatrywał. Stał nad nią i się wahał. Gdy tak stał, miał jeszcze szansę. Zauważył mnie. Podniósł głowę. Na oczy zasunął kotarę z gęstej mgły. W kilka sekund przyoblekł gałki oczne czernią. Odszedł.

Podeszłam do Marysi. Podniosłam Marysię. Umyłam Marysię w Wihorze.

– Zrobił to, bo jestem Polką? – zapytała. – Powiedział, że muszę ponieść ofiarę, żebyście mogli powstać, żebyście mogli istnieć, żebyście ...
– Rozpłakała się.

– Nie chcę takiej ofiary! Słyszysz? Nie chcę! – zaczęłam krzyczeć.

Tak bliskie były nieba w swych sercach pełnych naiwności. Tak blisko było im do nieba w niebezpieczeństwie wojennej szarugi.

Przygotowałam dla aniołków niespodziankę. Całą niedzielę wycinałam z papieru słońce, inne gwiazdy, księżyc, planety i chmury i je kolorowałam. Z zapasów szkolnych pozostało mi już niewiele farb. Niepasujące do siebie, drażniące oczy, odległe od rzeczywistości, zawisły u powały sufitu.

Aniołki oniemiały. Rozcierając zziębnięte dłonie, tuląc się do pieca, spoglądały w górę.

Ich uśmiechy wynagrodziły mi niezadowolenie męża, z którym nie poszłam do jego świątyni.

Strzelisty kościół ufundowany i zbudowany przez mieszkańców wioski odznaczał się surowością wnętrza. Wysoko zawieszona okna dawały nadzieję na nikły dotyk światłości – kąpieli świetlnej mógł zażyć organista, osadzony tuż pod ich linią. Wosk ze świec porozstawianych wokół ołtarza kapął miarowo. Po zastygnięciu przypominał wystygłą lawę, która w swoim wnętrzu nosi pamięć niekontrolowanych wybuchów ognia i chaotyczny rozprysk wulkanicznego pyłu.

Twarz proboszcza, poorana głębokimi bruzdami, wyzierała znad ołtarza.

– Ten naród to zaraza! – pokrzykiwał na mszy. – Ten naród nas uciemieży. – Słyszałam, stojąc u boku męża.

Ten stary człowiek miał dwie słabości – Pismo Święte i alkohol. W księgę wpatrywał się z czułością, traktując ją jak najwierniejszą towarzyszkę życia. Gdy przewracał kolejne strony, jego palce delikatnie gładziły litery, a po ciele rozchodził mu się dreszcz rozkoszy. Gdy

dopełniano mu piwa w szklanicy, gdy dolewano cięższego alkoholu do kieliszka, w zapamiętaniu chwycił rękę czyniącą tę posługę, zbliżał ją do swych ust i zwilżał śliną przy składanym pocałunku.

– Pijaństwo odbiera wam rozum – grzmiał w niedziele. – Pijaństwo jest zarazą tych ziem.

Mąż, choć żądny mojej obecności w kościele, odsuwał się zawsze ode mnie, jakby chciał pokazać swoim, że jestem tylko przybłądą, która znalazła szczęście u jego boku. Często słyszałam jadowite myśli jego pobratymców. Wdzierały się do mojej głowy. Syczały jadowicie.

– Ssssss, ssssss, ssssss – rozchodziło się po zimnym wnętrzu budynku.

W miarę upływu mszy ten dźwięk narastał. Z kościoła wychodziłam zawsze z bólem głowy.

Tęskniłam wtedy za cerkwią, za jej przeciągłym lamentem, który wlewał się w dusze wiernych, przesywając je melancholią.

Kuba jako pierwszy mnie spytał, czy tam, w odległych światach, jest inne życie. Czy mógłby spotkać drugiego Kubę i się z nim zaprzyjaźnić.

– Wszystko jest możliwe, mój mały – odpowiedziałam. – Może będziesz pierwszym, który dotknie wszechświata i opowie nam, jakie to było uczucie.

– Ustawcie się w parach naprzeciw siebie – powiedziałam do uczniów. – Spójrzcie sobie w oczy. Przeglądajcie się zawsze w oczach życzliwych ludzi – dodałam. – To was wzmocni, to was poniesie w stronę dobrego życia.

Przypomniałam sobie w tamtym momencie, kiedy po raz pierwszy spojrzałam w oczy Anielki. Niby przelotnie, niby przypadkiem, niby nieistotnie. Poczułam wstyd. Zobaczyłam siebie obnażoną, zgarbioną,

przestraszona. Blask od niej bijący sprawił, że wyciągnęłam przed siebie dłonie i złapałam ją odruchowo za rękę.

Dalsza część w wersji pełnej

SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Wihor](#)